

MISTRZ ROMANTYCZNYCH HISTORII

NICHOLAS SPARKS

SPÓJRZ NA MNIE



ALBATROS

Tytuł oryginału:
SEE ME

Copyright © Willow Holdings, Inc. 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frąc 2016

Redakcja: Beata Kołodziejska

Zdjęcie na okładce: monicore/Pexels.com

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Już pierwszego dnia pobytu w Wilmington wiedział, że nigdy nie osiedliłby się w takim mieście na stałe. Było zbyt turystyczne i wyglądało tak, jakby się rozrastało bez żadnego planowania. W zabytkowej części, zgodnie z jego przewidywaniami, stały domy z werandami, kolumnami, drewnianą elewacją i rozłożystymi magnoliami na podwórkach, ale ta przyjemna zabudowa stopniowo ustępowała ciągom sklepów, restauracji i salonów samochodowych. Na ulicach panował duży ruch, przez co dzielnica była tym bardziej nie do zniesienia, szczególnie latem.

Tereny Uniwersytetu Karoliny Północnej w Wilmington stanowiły miłą niespodziankę. Wyobrażał sobie, że w kampusie będzie dominować brzydka architektura lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Rzeczywiście było tam kilka takich budynków, zwłaszcza na obrzeżach uniwersytetu, ale główne dziedzińce okazały się swego rodzaju oazą. Nie brakowało tam ocienionych ścieżek i wypiełgowanych trawników, a georgiańskie kolumny i ceglane fasady gmachu Hoggarda i Khenan Halls połyskiwały w słońcu późnego popołudnia.

Podziwiał park. Stała w nim wieża zegarowa i kiedy tu przyszedł, zapatrzył się na jej odbicie w stawie. Czas przeglądał się w wodzie, na

pierwszy rzut oka niemożliwy do odczytania. Dopóki miał otwarty podręcznik na kolanach, mógł tam siedzieć i obserwować toczące się życie, niemal niewidzialny dla studentów, którzy spacerowali jak w transie, pochłonięci sobą.

Było ciepło jak na późny wrzesień, studenci mieli na sobie krótkie spodenki i koszulki bez rękawów, wszędzie widział odkryte części ciała. Zastanawiał się, czy w takich strojach chodzą na zajęcia. Musiał poznać zarówno ich, jak i sam kampus. Przyszedł tu po raz trzeci w ciągu trzech dni, ale wciąż kręciło się zbyt wielu ludzi. Ktoś mógł zwrócić na niego uwagę, a przecież nie chciał być zapamiętany. Przez jakiś czas myślał, czy nie przenieść się w inne miejsce, i w końcu uznał, że nie ma ku temu powodu. O ile wiedział, nikogo nie obchodziło, że tutaj siedzi.

Dotarł blisko, bardzo blisko, ale na razie ważne było zachowanie cierpliwości. Powoli zaczerpnął tchu, przytrzymał powietrze w płucach i je wypuścił. Na ścieżce dostrzegł dwoje studentów z plecakami na ramionach, idących na zajęcia, ale o tej porze przeważali ci wcześniej rozpoczynający weekend. Stali w trzy-, czteroosobowych grupkach, rozmawiając i popijając z bidonów, w których, jak przypuszczał, był alkohol. Dwóch klonów w ubraniach marki Abercrombie rzucało frisbee, a ich dziewczyny gawędziły z boku. Zauważył sprzeczącą się parę. Dziewczyna miała zarumienioną twarz. Widział, jak pchnęła swojego chłopaka, powiększając przestrzeń między nimi. Rozbawiła go jej złość i to, że w przeciwieństwie do faceta nie musiała ukrywać uczuć. Za nimi gromadka studentów grała w łagodniejszą wersję futbolu amerykańskiego z beztroską żywiołowością ludzi, którzy nie mają prawdziwych obowiązków.

Przypuszczał, że wielu z nich planuje wyjście dzisiejszego i jutrzejszego wieczoru. Siedziłyby bractwa. Domy korporacji studentek. Bary. Kluby. Dla wielu z nich weekend zaczynał się dzisiaj, gdyż większość grup w piątki nie miała zajęć. Był zaskoczony, kiedy się

o tym dowiedział. Sądził, że przy tak wysokich kosztach edukacji studentom będzie zależało na spędzaniu czasu w salach wykładowych, a nie na trzydniowych weekendach. Jednocześnie przypuszczał, że ten układ odpowiada zarówno im, jak i profesorom. Czy w dzisiejszych czasach każdy chce mieć łatwo? Osiągać cel kosztem jak najmniejszego wysiłku? Iść na skróty?

Tak, pomyślał. Dokładnie tego uczą się tutaj studenci. Uczą się, że trudne decyzje nie są konieczne, że dokonywanie właściwego wyboru jest nieważne, szczególnie jeśli ma się wiązać z dodatkowym nakładem pracy. Po co studiować albo rzucać wyzwanie światu w piątkowe popołudnie, skoro można wyjść i cieszyć się słońcem?

Wodząc wzrokiem z lewej strony na prawą, zastanawiał się, ilu z nich myśli, jakie ma przed sobą życie. Cassie myślała. Myślała o przyszłości cały czas. Snuła plany. W wieku siedemnastu lat zaplanowała przyszłość, ale pamiętał, że mówiła o tym trochę niepewnie, i wówczas odnosił wrażenie, że niezupełnie wierzy w siebie albo w twarz, którą pokazywała światu. Z jakiego innego powodu podejmowałaby takie, a nie inne decyzje?

Próbował jej pomóc. Zrobił, co trzeba, postępował zgodnie z prawem, złożył zeznania na policji, nawet rozmawiał z zastępcą prokuratora okręgowego. I do tego momentu wierzył w zasady społeczne. Hołdował naiwnemu pogładowi, że dobro zatriumfuje nad złem, że niebezpieczeństwu można zapobiec, że wydarzenia można kontrolować. Że postępowanie według zasad uchroni człowieka przed krzywdą. Cassie też w to wierzyła – czy nie tego uczy się dzieci? Spójrz w obie strony, zanim przejdiesz przez jezdnię. Nie wsiadaj do samochodu z nieznanym. Szoruj zęby. Jedz warzywa. Zapinaj pasy. Lista nie miała końca, lista zasad mających nas chronić.

Ale, jak się przekonał, zasady mogą również być niebezpieczne. Dostosowuje się je do średniej społeczności, nie konkretnych osób, a ponieważ ludzie od dzieciństwa są uczeni akceptowania zasad, ich

ślepe przestrzeganie łatwo wchodzi im w krew. Uwierz w system. Łatwiej jest nie martwić się o nieprzewidywalne sytuacje. To oznacza, że ludzie nie muszą myśleć o potencjalnych konsekwencjach i kiedy w piątkowe popołudnie świeci słońce, mogą grać we frisbee wolni od wszelkich trosk.

Doświadczenie jest najsurowszym nauczycielem. Przez prawie dwa lata myślał tylko o lekcjach, jakie mu dało. Niemal go zniszczyły, ale powoli wyłaniał się jasny obraz. Cassie wiedziała o niebezpieczeństwie. Ostrzegął ją przed tym, co może się stać. I w końcu dbała tylko o przestrzeganie zasad, ponieważ to było wygodne.

Spojrzał na zegarek i uznał, że pora iść. Zamknął podręcznik i wstał. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nie ściągnął na siebie czyjejś uwagi. Nie. Ruszył przez park z książką pod pachą. W kieszeni miał list, więc skręcił w stronę skrzynki pocztowej tuż przed budynkiem nauk ścisłych. Wrzucił kopertę w szczelinę i czekał. Parę minut później zauważył Serenę wychodzącą przez drzwi.

Sporo już o niej wiedział. Wydawało się, że w dzisiejszych czasach każda młoda osoba ma konto na Facebooku, Twitterze, Instagramie i Snapchacie i wystawia swoje życie na pokaz każdemu, komu zależy na poskładaniu wszystkich elementów w całość. Co kto lubi, z kim się przyjaźni, gdzie spędza czas. Z postu na Facebooku już wiedział, że w tę sobotę Serena będzie z siostrą na drugim śniadaniu u rodziców. Gdy patrzył, jak idzie przed nim – miała ciemne włosy sięgające poniżej ramion – znowu stwierdził, że jest piękna. Cechował ją naturalny wdzięk i mijani faceci posyłali jej pełne uznania uśmiechy, choć zdawała się tego nie dostrzegać, pogrążona w rozmowie. Szła z niską, tęgawą blondynką, koleżanką z grupy. Razem chodziły na jakieś seminarium. Wiedział, że chce zostać nauczycielką w szkole podstawowej. Snuła plany, jak kiedyś Cassie.

Zachowywał odległość, pobudzony przez siłę, jaką odczuwał w jej obecności. Przez siłę, którą skrupulatnie gromadził od dwóch lat.

Nie miała pojęcia, jak jest blisko ani co może zrobić. Nigdy nawet nie spoglądała przez ramię, ale dlaczego miałaby to robić? Był dla niej nikim, po prostu kolejną twarzą w tłumie...

Zastanawiał się, czy opowiada blondynce o swoich planach na weekend, wymieniając miejsca, w których będzie, albo ludzi, z którymi zamierza się spotkać. Sam planował zobaczyć rodzinę na niedzielnym śniadaniu, chociaż nie jako gość. Będzie ich obserwował z pobliskiego domu zlokalizowanego w dzielnicy solidnej klasy średniej. Dom od miesiąca stał pusty, właściciele stracili go wskutek długów hipotecznych. Obciążona nieruchomość została zajęta, ale jeszcze nie wystawiono jej na sprzedaż. Zamki w drzwiach były porządne, jednak bez większego trudu wszedł przez okno z boku domu. Już wiedział, że z głównej sypialni widać tylną werandę i można stamtąd zajrzeć do kuchni. W niedzielę będzie obserwował, jak zżyta rodzina śmieje się i żartuje przy stole na werandzie.

Wiedział coś o każdym z nich. Felix Sanchez był bohaterem klasycznej opowieści o emigrancie, któremu się powiodło. Artykuł z gazety, zalaminowany i dumnie wystawiony w rodzinnej restauracji, ukazywał historię Sancheza. Felix nielegalnie przybył do kraju jako nastolatek, nie mówiąc słowa po angielsku, i zaczął pracować jako pomywacz w miejscowej restauracji. Piętnaście lat później, gdy otrzymał obywatelstwo, miał dość zaoszczędzonych pieniędzy, żeby otworzyć w galerii handlowej własny lokal – La Cocina de la Familia – serwujący potrawy sporządzane według przepisów żony Carmen. Podczas gdy ona zajmowała się gotowaniem, on robił wszystko inne, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia firmy. Restauracja sukcesywnie się rozwijała i obecnie uważano ją za jeden z najlepszych meksykańskich lokali w mieście. Sanchezowie zatrudniali ponad piętnastu pracowników, ale wielu było krewnymi, co nadawało restauracji rodzinny charakter. Sami też wciąż tam pracowali, a Serena trzy razy w tygodniu obsługiwała gości, podobnie jak kiedyś jej starsza

siostra Maria. Felix należał do izby handlowej i klubu rotariańskiego, a w każdą niedzielę o siódmej rano wraz z żoną uczestniczył w mszy w kościele pod wezwaniem Świętej Marii, gdzie służył również jako diakon. Carmen była nieco bardziej tajemnicza. Wiedział o niej tylko tyle, że w dalszym ciągu z większą swobodą mówi po hiszpańsku niż po angielsku i że jak mąż jest dumna z Marii, która pierwsza w rodzinie ukończyła uczelnię.

Co do Marii...

Jeszcze jej nie widział w Wilmington. Wyjechała z miasta na parę dni na konferencję prawników, ale znał ją najlepiej ze wszystkich. W przeszłości, kiedy mieszkała w Charlotte, widywał ją wiele razy. Rozmawiał z nią. Próbował ją przekonać, że się pomyliła. I w końcu cierpiał przez nią tak, jak nikt nigdy nie powinien cierpieć. Nienawidził jej za to, co zrobiła.

Kiedy Serena pomachała ręką, żegnając się z koleżanką, i ruszyła w kierunku parkingu, szedł dalej prosto. Nie miał powodu jej śledzić. Był zadowolony, gdyż wiedział, że w niedzielę zobaczy jej małą, ale szczęśliwą rodzinę. Szczególnie Marię. Ciemnoooka, z niemal idealnymi rysami twarzy, była jeszcze piękniejsza niż siostra, choć szczerze mówiąc, obie wygrały na genetycznej loterii. Próbował wyobrazić je sobie siedzące blisko przy stole. Mimo siedmioletniej różnicy można by sądzić, że są bliźniaczkami. A jednak się różniły. Serena była towarzyska do przesady, natomiast Maria cichsza i bardziej ambitna, poważniejsza i niezwykle pracowita. Mimo to były sobie bardzo bliskie. Były nie tylko siostrami, ale również najlepszymi przyjaciółkami. Przypuszczał, że Serena dostrzega u siostry cechy charakteru, jakie chciałaby naśladować, i odwrotnie. Przebiegł go dreszcz podniecenia na myśl o weekendzie, bo wiedział, że być może po raz ostatni Sanchezowie spędzą wspólnie czas, zanim ich życie straci choćby pozory normalności. Chciał zobaczyć, jak się zachowują, zanim napięcie zatruje ich słodką szczęśliwą rodzinę...

zanim władzę przejmie strach. Zanim ich życie najpierw powoli, a później w szaleńczym tempie zamieni się w piekło.

Ostatecznie przybył tutaj w określonym celu, a cel ten miał swoją nazwę.

Zemsta.

1

Colin

Colin Hancock stał przy umywalce w łazience taniej knajpy. Podciągnął koszulę, żeby obejrzeć siniak na żebrach. Przypuszczał, że jutro rano kolor będzie bardziej intensywny, ciemnofioletowy. Nawet lekkie muśnięcie palcami sprawiło, że się skrzywił. Z doświadczenia wiedział, że ból za jakiś czas osłabnie, ale zastanawiał się, czy rankiem nie będzie miał kłopotów z oddychaniem.

Co do twarzy...

Twarz może być problemem – nie dla niego, ale dla innych. Koleżanki z grupy z pewnością będą w niego wlepić szeroko otwarte, przestraszone oczy i szeptać o nim za plecami, chociaż wątpił, czy któraś go zapyta, co się stało. Po pierwszych tygodniach na uczelni uznał, że większość z nich jest dość sympatyczna, ale było jasne, że nie wiedzą, co o nim myśleć, i ani jedna nie próbowała go zagadnąć. Nie zależało mu na tym. Praktycznie wszystkie były sześć czy siedem lat młodsze od niego i przypuszczał, że mają niewiele wspólnego, jeśli chodzi o doświadczenie życiowe. Z czasem, jak każdy, wyciągnął własne wnioski na jego temat. Szczerze mówiąc, nie warto zawracać sobie tym głowy.

Musiał jednak przyznać, że obecnie prezentuje się wyjątkowo koszmarnie. Lewe oko było opuchnięte, białko prawego

krwawoczerwone. Pośrodku czoła biegła długa rana, teraz opatrzona, a na prawym policzku pod okiem widniał przypominający znamię siniak w kolorze ołowiu. Obrazu dopełniały rozcięte, obrzmiałe wargi. Powinien jak najszybciej przyłożyć do twarzy worek z lodem, jeśli chciał, żeby dziewczyny z jego grupy mogły się skupić na zajęciach. Ale wszystko po kolei. Zgłodniał i musiał wrzucić coś na ruszt. Od dwóch dni jadł niewiele i miał ochotę na szybkie, smaczne jedzenie i, o ile to możliwe, w miarę zdrowe. Niestety o tej porze większość lokali była już zamknięta, więc zawiął do przydrożnej zapuszczonej knajpki z kratami w oknach, zaciekami na ścianach, popękanym linoleum na podłodze i butelkami sklejonymi taśmą samoprzylepną. Ale miała jedną zaletę: żadnego klienta nie obchodził wygląd Colina, kiedy szedł do stolika. Ludzie, którzy późną nocą przychodzą do takich spelunek, umieją pilnować swojego nosa. Przypuszczał, że połowa z nich próbowała wytrzeźwieć po nocy ciężkiego pijaństwa, a pozostali – bez wątplenia kierowcy – też trzeźwieli, tylko odrobinę mniej pijani.

Było to miejsce, gdzie łatwo wpaść w kłopoty, i gdy skręcił na zwirowy parking, właściwie się spodziewał, że Evan, który ciągnął za nim w swoim priusie, pojedzie dalej. Ale Evan musiał mieć podobne podejrzenia co do możliwych kłopotów i właśnie z tego powodu postanowił mu towarzyszyć. Niezupełnie wtapiał się w tutejszy nocny tłumek, ubrany w różową koszulę, we wzorzystych skarpetach i ze schludnie uczesanymi włosami w kolorze piasku. Co więcej, prius niczym neon oznajmiał, że jego właściciel postawił sobie za cel dostać lanie od porządných chłopaków w pick-upach, którzy właśnie dochodzili do wniosku, że zmarnowali większą część nocy.

Colin odkręcił kurek, zanurzył dłonie i przyłożył je do twarzy. Woda była zimna, dokładnie taka, jak chciał. Miał wrażenie, że jego skóra płonie. Żołnierz piechoty morskiej, z którym walczył, zadawał ciosy znacznie mocniejsze, niż można by się spodziewać – nie licząc tych niedozwolonych – ale kto mógłby to przewidzieć, tylko na niego

patrząc? Wysoki, chudy, regulaminowa fryzura, głupawo uniesione brwi... Colin popełnił błąd, nie doceniając faceta, i obiecał sobie, że więcej do tego nie dopuści. Albo to, albo jak rok długi będzie straszył koleżanki z grupy, co po prostu może zepsuć im studiowanie. Mógł sobie wyobrazić, jak relacjonują przez telefon: „Mamo, jestem w grupie ze strasznym gościem, który ma siniaki na całej twarzy i do tego te okropne tatuaże! I muszę siedzieć sześć miejsc na prawo od niego!”.

Otrząsnął ręce z wody. Wychodząc z toalety, spostrzegł Evana siedzącego w kącie boksu. W przeciwieństwie do niego, Evan idealnie pasowałby do sali wykładowej. Wciąż miał młodzieńczą twarz i podchodząc do stolika, Colin rozmyślał, ile razy w tygodniu Evan się goli.

– Sporo czasu ci to zajęło – zauważył Evan, gdy Colin wsunął się do boksu. – Już się bałem, że zabłądziłeś.

Colin zgarbił się na winylowej kanapie.

– Mam nadzieję, że się nie denerwowałeś, siedząc tu sam jak palec.

– Ha, ha.

– Mam do ciebie pytanie.

– Strzelaj.

– Ile razy w tygodniu się golisz?

Evan zamrugał.

– Spędziłeś w łazience dziesięć minut i akurat o tym myślałeś?

– Zastanawiałem się nad tym, idąc do stolika.

Evan wlepił w niego wzrok.

– Golę się codziennie rano.

– Dlaczego?

– Co to znaczy: dlaczego? Z tego samego powodu co ty.

– Ja nie golę się codziennie rano.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

– Bo byłem ciekawy i zapytałem, a ty mi odpowiedziałeś – odparł Colin. Nie zważając na minę przyjaciela, wskazał menu. – Zmienileś

zdanie i postanowiłeś coś zamówić?

Evan pokręcił głową.

– Absolutnie wykluczone.

– Nie zjesz nic?

– Nie.

– Masz zgagę? – spytał Colin.

– Prawdę mówiąc, bardziej podejrzenie, że ostatni raz inspekcja sanitarna kontrolowała tę garkuchnię za prezydentury Reagana.

– Nie jest tak źle.

– Widziałeś kucharza?

Colin zerknął w kierunku grilla za ladą. Kucharz, który stał przed środkową płytą, miał zatłuszczony fartuch opięty na wydatnym brzuchu, długi kucyk i tatuaże pokrywające prawie całe przedramiona.

– Podobają mi się jego dziary.

– Rany, też mi niespodzianka – rzucił Evan.

– To prawda.

– Wiem. Zawsze mówisz prawdę. Między innymi na tym polega twój problem.

– Dlaczego to jest problem?

– Ponieważ ludzie nie zawsze chcą słyszeć prawdę. Jak wtedy, kiedy twoja dziewczyna pyta, czy w jakimś stroju wygląda grubo. Powinieneś ją zapewnić, że wygląda pięknie.

– Nie mam dziewczyny – odparł Colin.

– Pewnie dlatego, że ostatniej powiedziałeś, że wygląda grubo, nie dodając słowa o pięknie.

– Było inaczej.

– Ale rozumiesz, o co mi chodzi. Czasami trzeba... mijać się z prawdą, żeby się dogadać.

– Dlaczego?

– Bo tak robią normalni ludzie. Tak funkcjonuje społeczeństwo. Nie możesz mówić ludziom wszystkiego, co ci przyjdzie do głowy. W

ten sposób stawiasz ich w niezręcznej sytuacji albo ranisz ich uczucia. I jak wiesz, szczególnie pracodawcy tego nienawidzą.

- Okay.
- Nie wierzysz mi?
- Wierzę – powiedział Colin.
- Ale się nie przejmujesz.
- Nie.
- Bo wolisz mówić prawdę.
- Tak.
- Dlaczego?
- Ponieważ nauczyłem się, że to działa na moją korzyść.

Evan milczał przez chwilę.

– Czasami żałuję, że nie mogę być taki jak ty – odezwał się w końcu. – Wygarnąć szefowi prosto w oczy, co naprawdę o nim myślę, bez oglądania się na konsekwencje.

- Możesz. Postanowiłeś tego nie robić.
- Potrzebuję stałych dochodów.
- To wymówka.

– Może. – Evan wzruszył ramionami. – Ale nauczyłem się, że to działa na moją korzyść. Czasami kłamanie jest konieczne. Na przykład gdybym ci powiedział, że widziałem parę karaluchów pod stołem, kiedy byłeś w łazience, mógłbyś podzielić moje odczucia co do konsumpcji w tym lokalu.

- Wiesz, że nie musisz tu siedzieć? Nic mi nie będzie.
- Ty tak twierdzisz.

– Martw się o siebie, nie o mnie. Poza tym robi się późno. Nie wybierasz się jutro z Lily do Raleigh?

– Z samego rana. O jedenastej pójdziemy na nabożeństwo z moimi rodzicami, a potem zjemy lunch. Ale w przeciwieństwie do ciebie ja nie będę miał kłopotów z porannym wstawaniem. Wyglądasz koszmarnie, nawiasem mówiąc.

- Dzięki.
- Zwłaszcza oko.
- Jutro opuchlizna będzie mniejsza.
- To drugie. Sądzę, że pękło ci kilka naczynek. Albo to, albo naprawdę jesteś wampirem.

- Zauważyłem.

Evan się wyprostował, lekko rozłożył ręce.

- Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Jutro nie pokazuj się sąsiadom. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby pomyśleli, że poturbowałem cię za spóźniony czynsz lub coś w tym stylu. Nie chcę mieć złej reputacji jako gospodarz.

Colin się uśmiechnął. Wążył co najmniej piętnaście kilogramów więcej niż Evan i lubił żartować, że jeśli przyjaciel kiedykolwiek postawił nogę w siłowni, to prawdopodobnie w celu przeprowadzenia tam kontroli.

- Obiecuję nie rzucać się nikomu w oczy – zapewnił.

- Dobrze. Zważywszy na moją reputację i tak dalej.

Podeszła kelnerka, postawiła na stole talerz jajecznicy z samych białek z szynką i miskę płatków. Gdy Colin przysunął miskę, spojrzał na kubek Evana.

- Co pijesz?

- Gorącą wodę z cytryną.

- Poważnie?

- Minęła północ. Gdybym wziął kawę, byłbym na nogach przez całą noc.

Colin zjadł łyżkę płatków.

- Okay.

- Co? Bez złośliwego komentarza?

- Po prostu jestem zaskoczony, że mają tu cytrynę.

- A ja jestem zaskoczony, że robią jajecznicę z białek. Prawdopodobnie jesteś pierwszą w dziejach tej knajpy osobą, która

zamówiła zdrowy posiłek. – Evan sięgnął po wodę. – Jakie masz plany na jutro?

– Muszę wymienić stacyjkę w samochodzie. Później zajmę się trawnikiem, a potem skoczę do siłowni.

– Chcesz jechać z nami?

– Brunch niezupełnie mi leży.

– Nie zapraszam cię na brunch. Wątpię, czy z taką gębą wpuściliby cię do klubu. Ale w Raleigh mógłbyś się zobaczyć z rodzicami. Albo z siostrami. To po drodze do Chapel Hill.

– Nie.

– Po prostu przyszło mi na myśl, że spytam.

Colin nabrał łyżkę płatków.

– Nie.

Evan odchylił się na oparcie.

– Nawiasem mówiąc, dziś wieczorem odbyło się kilka świetnych walk. Ta po twojej była fantastyczna.

– Tak?

– Niejaki Johnny Reese wykończył gościa w pierwszej rundzie. Runął na niego jak prawdziwy samiec, wykonał duszenie i po sprawie. Facet porusza się jak kot.

– Do czego zmierzasz? – spytał Colin.

– Jest znacznie lepszy niż ty.

– Okay.

Evan bębnił palcami po stole.

– Jesteś zadowolony ze swojej walki?

– Skończyła się.

Evan czekał.

– I?

– To wszystko.

– Nadal myślisz, że to, co robisz, jest dobrym pomysłem? To znaczy... sam wiesz.

Colin nabrał jajecznicę na widelec.

– Wciąż jestem tu z tobą, prawda?

*

Pół godziny później Colin znów był na autostradzie. Chmury, które od kilku godzin zapowiadały burzę, w końcu spełniły obietnicę, przynosząc wiatr, deszcz i błyskawice z grzmotami. Evan wyszedł kilka minut wcześniej i gdy Colin siadł za kierownicę chevroleta camaro, którego remontował od kilku lat, wrócił myślą do przyjaciela.

Znał Evana, odkąd sięgał pamięcią. Kiedy był dzieckiem, jego rodzina przyjeżdżała na wakacje do domku na plaży w Wrightsville Beach, a rodzina Evana mieszkała po sąsiedzku. Spędzali długie, słoneczne dni na wólczech po plaży, grze w piłkę, łowieniu ryb, surfowaniu i pływaniu na deskach boogie. Często nocowali jeden u drugiego, dopóki rodzice Evana nie przenieśli się do Chapel Hill. A Colin zszedł na manowce.

Fakty były całkiem proste. Przyszedł na świat jako trzecie dziecko i jedyny syn zamożnych rodziców, którzy mieli upodobanie do zatrudniania nian i absolutnie nie pragnęli trzeciego dziecka. Był niemowlęciem ze skłonnością do kolek, a później rozsadzanym przez energię dzieciakiem z ostrym zespołem ADHD, dzieciakiem, który miewał regularne napady złości i nie umiał się skupić ani nawet usiedzieć spokojnie. W domu doprowadzał rodziców do szału i płoszył jedną nianię po drugiej, a w szkole wdawał się w niezliczone bijatyki. W trzeciej klasie miał wspaniałego nauczyciela, który postawił go do pionu, lecz w czwartej znów pojawiły się problemy. Na placu zabaw wszczynał jedną bójkę za drugą i mało brakowało, a zostałby zatrzymany. Mniej więcej w tym czasie zaczęto uważać go za trudne dziecko i rodzice, nie wiedząc, co robić, posłali go do szkoły wojskowej w nadziei, że dyscyplina wyjdzie mu na dobre. Pierwszy rok okazał się straszny. Colin wyleciał w połowie wiosennego semestru.

Wysłali go do następnej szkoły wojskowej w innym stanie i przez kilka lat zużywał nadmiar energii w sportach walki – zapasach, boksie i dzudo. Wyładowywał agresję na innych, niekiedy ze zbyt wielkim entuzjazmem, często po prostu dlatego, że tego chciał. Nie przejmował się ocenami ani dyscypliną. Po pięciu kolejnych relegacjach i pięciu różnych szkołach wojskowych w końcu z trudem zdał maturę jako pełen złości i agresji młody mężczyzna bez planów na życie i ani trochę niezainteresowany, żeby coś znaleźć. Wprowadził się do rodziców i tak upłynęło siedem paskudnych lat. Patrzył, jak matka płacze, słuchał błagań ojca, żeby się zmienił, ale ich ignorował. Pod wpływem nacisków ojca podjął pracę z terapeutą, lecz wciąż się staczał po równi pochyłej. Jego nadrzędnym celem była podświadoma autodestrukcja. Tak brzmiały słowa terapeuty, nie jego, chociaż obecnie się z nimi zgadzał. Ilekroć rodzice wyrzucali go z Raleigh, włamywał się do rodzinnego domku na plaży, gdzie cierpliwie czekał na stosowną chwilę, żeby wrócić do domu, po czym cykl się powtarzał. Kiedy miał dwadzieścia pięć lat, dostał ostatnią szansę na dokonanie zmian w swoim życiu. Niespodziewanie z niej skorzystał. I teraz był tutaj, na uczelni, mając w planach spędzenie kilku następnych dekad w sali klasowej z nadzieją, że będzie mentorem dzieci, co dla większości ludzi nie miało żadnego sensu.

Colin wiedział, że jego chęć spędzenia reszty życia w szkole – w miejscu, którego zawsze nienawidził – jest czystą ironią, ale właśnie tego pragnął. Niewiele myśli poświęcał tej ironii i zasadniczo nie roztrząsał przeszłości. Nie zawracałby sobie tym głowy, gdyby nie wzmianka Evana o odwiedzinach u rodziców. Evan wciąż nie rozumiał, że samo przebywanie w jednym pokoju z rodzicami jest stresujące zarówno dla niego, jak i dla nich, zwłaszcza jeśli wizyta nie była zaplanowana. Wiedział, że gdyby zjawił się niespodziewanie, siedzieliby skrępowani, próbując prowadzić lekką pogawędkę, podczas gdy wspomnienia wypełniałyby powietrze jak trujący gaz. Czułby, jak wzbiera w nich

rozczarowanie i jak go osądzają, nieważne, czy wyraziliby to słowami, czy nie. A komu tego potrzeba? Nie jemu, i nie im. Od trzech lat starał się ograniczać swoje nieczęste wizyty do godziny, prawie zawsze w święta, i układ ten, jak się zdaje, wszystkim odpowiadał.

Jego starsze siostry, Rebecca i Andrea, próbowały go nakłonić do naprawienia stosunków z rodzicami, ale uciął te rozmowy w taki sam sposób, jak uciął rozmowę z Evanem. Ostatecznie życie sióstr różniło się od jego życia. Były chcianymi dziećmi, on zaś pojawił się siedem lat po młodszej jako gruba rozwrzeszczana niespodzianka. Wiedział, że chciały dobrze, ale niewiele ich łączyło. Obie ukończyły studia, miały mężów i dzieci. Mieszkały na tym samym ekskluzywnym osiedlu co rodzice i w weekendy grały w tenisa. Im był starszy, tym bardziej dochodził do przekonania, że podjęte przez nie życiowe decyzje były znacznie mądrzejsze niż jego wybory. Ale one nie były „trudnymi dziećmi”.

Wiedział, że rodzice, tak samo jak siostry, zasadniczo są dobrymi ludźmi. Dopiero po latach terapii pogodził się z tym, że to on był trudny, nie oni. Już nie obwiniął matki i ojca o to, co się z nim działo ani co zrobili lub czego nie zrobili. Wręcz uważał się za szczęśliwego syna dwojga niewiarygodnie cierpliwych ludzi. Co z tego, że został wychowany przez nianie? Co z tego, że jego starzy w końcu dali za wygraną i wysłali go do szkoły wojskowej? Kiedy naprawdę ich potrzebował, kiedy inni rodzice prawdopodobnie by się poddali, oni nigdy nie stracili nadziei, że zmieni swoje życie.

I przez lata tolerowali jego wybryki. Poważne wybryki. Ignorowali picie, palenie trawki i zbyt głośną muzykę przez całą dobę. Znosili imprezy, jakie urządzał, ilekroć wyjeżdżali z miasta, imprezy, po których w domu zostawał potworny bałagan. Przymykali oko na barowe bójki i liczne aresztowania. Ani razu nie powiadomili policji, kiedy się włamywał do domku na plaży, mimo że tam też wyrządzał poważne szkody. Więcej razy, niż pamiętał, wpłacali za niego kaucję i

opłacali prawników, a trzy lata temu – kiedy groziła mu długa odsiadka za barową burdę w Wilmington – ojciec pociągnął za sznurki, żeby zawrzeć z sędzią układ, który mógł Colinowi zapewnić całkowicie czystą kartotekę. Oczywiście pod warunkiem, że znów nie zawali. Będąc pod nadzorem kuratorskim, spędził cztery miesiące w Arizonie, zamknięty w ośrodku terapeutycznym z programem kontrolowania agresji. Po powrocie, ponieważ rodzice nie chcieli go widzieć w swoim domu, znów się włamał do domku na plaży, który w tym czasie został wystawiony na sprzedaż.

W ramach zawartej umowy musiał regularnie spotykać się z detektywem Pete'em Margolisem z policji w Wilmington. Człowiek pobity przez niego w barze był wieloletnim zaufanym informatorem policji, a wskutek pobicia wypadł z obiegu, co spowodowało zawalenie ważnej sprawy, nad którą pracował detektyw. W konsekwencji Margolis głęboko go nienawidził. Od samego początku był zdecydowanie przeciwny układowi, a później regularnie kontrolował Colina i nachodził go jako samozwańczy kurator.

Ostatni warunek układu stanowił, że jeśli Colin z jakiegokolwiek powodu znów zostanie aresztowany, zostaną wznowione wszystkie jego sprawy, a on automatycznie trafi do więzienia na blisko dziesięć lat.

Mimo wymogów, mimo częstych kontroli Margolisa, który wyraźnie szukał okazji, żeby go zakuć w kajdanki, był to wspaniały układ. Niewiarygodny układ, i wszystko dzięki ojcu... chociaż wtedy praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Formalnie rzecz biorąc, obowiązywał go zakaz przestąpienia progu domu rodziców, aczkolwiek ojciec ostatnio złagodził ten szczególny warunek. Nieodwołalnie wyrzucony z domu po powrocie z Arizony, patrząc, jak nowi właściciele obejmują w posiadanie domek na plaży i kocując u kumpli w Raleigh, przenoszony z jednej kanapy na drugą, w końcu musiał przewartościować swoje życie. Stopniowo dochodził

do wniosku, że jeśli niczego nie zmieni, dopełni samozniszczenia. Środowisko, w którym się obracał, nie wychodziło mu na dobre, a krąg znajomych był równie autodestrukcyjny jak on. Nie mając gdzie się podziać, pojechał do Wilmington i zaskoczył samego siebie, pojawiając się przed drzwiami Evana. Evan, który mieszkał tam po ukończeniu Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej, nie krył zaskoczenia na widok starego przyjaciela. Był również nieufny i trochę zdenerwowany, ale Evan jak to Evan, w końcu stwierdził, że nie widzi powodów, żeby Colin nie zatrzymał się u niego na jakiś czas.

Zasłużenie na zaufanie przyjaciela wymagało czasu. Ich życie potoczyło się zupełnie inaczej. Evan bardziej przypominał Rebeccę i Andreę: odpowiedzialny obywatel, który zna więzienie wyłącznie z telewizji. Pracował jako księgowy i planista finansowy i zgodnie z dumnymi zasadami swojego zawodu kupił dom z mieszkaniem na parterze i osobnym wejściem na piętro, żeby dzięki wynajmowi tych pomieszczeń obniżyć opłaty hipoteczne. Mieszkanie przypadkiem stało puste, kiedy pojawił się Colin. Z początku nie zamierzał długo tam mieszkać, ale kiedy dostał pracę w barze, wprowadził się na dobre. Trzy lata później wciąż płacił czynsz najlepszemu przyjacielowi, jakiego miał.

Jak na razie wszystko układało się doskonale. Kosił trawnik, przycinał krzewy i w zamian płacił rozsądny czynsz. Miał własne lokum z osobnym wejściem i Evana pod bokiem, a właśnie takiego towarzystwa Colin potrzebował na obecnym etapie życia. Evan wkładał do pracy garnitur i krawat, utrzymywał gustownie urządzony dom w nieskazitelnym stanie i nigdy poza domem nie wypijał więcej niż dwa piwa. Był również mniej więcej najsympatyczniejszym facetem pod słońcem i zaakceptował Colina wraz z jego wadami. Co więcej – choć Bóg jeden wie, z jakiego powodu – wierzył w niego, nawet kiedy Colin wiedział, że nie zawsze na to zasługuje.

Lily, narzeczoną Evana, była ulepiona z tej samej gliny. Pracowała

w reklamie i miała własne mieszkanie przy plaży, kupione przez rodziców, ale spędzała u Evana tyle czasu, że siłą rzeczy stała się ważną częścią życia Colina. Nie od razu go polubiła. Kiedy się poznali, Colin miał blond irokeza i kolczyki w uszach, a ich pierwsza rozmowa koncentrowała się wokół bójki barowej w Raleigh, której drugi uczestnik wyładował w szpitalu. Przez jakiś czas po prostu nie była w stanie pojąć, jak Evan może się z nim przyjaźnić. Lily, panna z wyższych sfer Charlestonu, absolwentka uczelni Meredith, była nieco afektowana i nadzwyczaj uprzejma, a jej słownictwo stanowiło pozostałość z minionej epoki. Była również najpiękniejszą dziewczyną, jaką Colin kiedykolwiek widział, nic więc dziwnego, że w jej rękach Evan był miękki jak wosk. Blondynka o błękitnych oczach i z głosem słodkim jak miód nawet wtedy, gdy była zła, wydawała się ostatnią osobą na świecie skłoną dać szansę komuś takiemu jak on. A jednak dała. I podobnie jak Evan, w końcu postanowiła w niego uwierzyć. To ona dwa lata temu zasugerowała, żeby zaczął studiować, i to ona uczyła go wieczorami. Dwa razy Lily i Evan uchronili go przed popełnieniem impulsywnego błędu, za który mógł trafić do więzienia. Colin uwielbiał ją za wszystko, co dla niego robiła, i był zachwycony jej związkiem z Evanem. Dawno temu postanowił, że jeśli ktokolwiek w jakikolwiek sposób im zagrozi, on się tym zajmie bez względu na konsekwencje. Nawet gdyby miał resztę życia spędzić za kratkami.

Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Czy nie tak się mówi? Życie, jakie wiódł od trzech lat, miało się zmienić choćby dlatego, że Evan i Lily byli zaręczeni i zamierzali się pobrać na wiosnę. Oboje go zapewniali, że po ślubie może nadal zajmować mieszkanie na dole, ale wiedział, że ubiegły weekend spędzili na nowym osiedlu bliżej Wrightsville Beach, oglądając piętrowe domy z werandą i balkonem na całą szerokość frontu, w stylu charakterystycznym dla Charlestonu. Oboje chcieli mieć dzieci, oboje chcieli mieć biały płot wokół domu i Colin nie miał wątpliwości, że w ciągu roku obecny dom Evana

zostanie wystawiony na sprzedaż. Wtedy znów będzie zdany wyłącznie na siebie i choć wiedział, że nieuczciwie jest liczyć, że Evan i Lily będą się nim opiekować, czasami się zastanawiał, czy wiedzą, jak ważni stali się dla niego w ciągu ostatnich paru lat.

Na przykład tej nocy. Colin nie prosił Evana, żeby przyjechał na walkę. Przyjaciel sam wpadł na ten pomysł. Nie prosił Evana, żeby siedział z nim podczas posiłku. Ale Evan prawdopodobnie podejrzewał, że jeśli nie zrobi jednego i drugiego, Colin zamiast do restauracji pojedzie do baru i będzie się odprężał przy drinkach, nie przy śniadaniu o północy. Pracował jako barman, lecz siedzenie po drugiej stronie baru ostatnio niezbyt mu służyło.

Colin zjechał z autostrady na wiejską drogę ze stojącymi po obu stronach sosnami i czerwonymi dębami bez wyjątku porośniętymi pnączami kudzu. Zależało mu nie tyle na skróceniu czasu jazdy, ile na uniknięciu zatrzymywania się na niezliczonych światłach w drodze przez miasto. Błyskawice co chwila rozjaśniały niebo, przemieniając chmury w srebro i oświetlając otoczenie stroboskopowymi błyskami. Deszcz i wiatr przybrały na sile, wycieraczki ledwie nadążały z oczyszczaniem przedniej szyby, ale dobrze znał tę drogę. Pokonał jeden z licznych zakrętów, mając ograniczoną widoczność, i odruchowo wcisnął hamulec.

Samochód stał na skos, częściowo na jezdni, częściowo na poboczu, błyskając światłami awaryjnymi. Bagażnik był otwarty, do środka lał się deszcz. Colin zwolnił, czując, że tył lekko zarzucił, zanim opony odzyskały przyczepność. Zjechał na przeciwny pas, żeby bezpiecznie wyminąć samochód, myśląc, że facet nie mógł sobie wybrać gorszego czasu i miejsca, żeby się rozwalić. Nie dość, że burza ograniczała widoczność, to jeszcze imprezowicze, jak ci w knajpie, właśnie teraz wyruszali do domu. Nie musiał się wysilać, żeby sobie wyobrazić, jak jeden z nich za szybko pokonuje zakręt i uderza w tył stojącego auta.

Paskudnie, pomyślał. Facet zdecydowanie prosił się o wypadek,

ale przecież to nie jego sprawa. Nie ma obowiązku ratowania nieznajomych, a zresztą prawdopodobnie niewiele mógłby pomóc. Znał się na silniku w swoim samochodzie, ale tylko dlatego, że camaro był starszy niż on. Nowoczesne silniki mają więcej wspólnego z komputerami. Poza tym kierowca bez wątpienia już zadzwonił po pomoc.

Gdy powoli mijał samochód, zauważył, że tylna opona jest przebita. Za klapą bagażnika przemoczona do suchej nitki kobieta w dżinsach i bluzce z krótkimi rękawami usiłowała wyciągnąć koło zapasowe. Długa seria błyskawic oświetliła jej twarz z rozmażanym makijażem. W tej chwili dostrzegł ciemne włosy i szeroko osadzone oczy. Koleżanka z grupy. Opadły mu ramiona.

Dziewczyna? Dlaczego to musi być dziewczyna? Chodzili razem na zajęcia. Raczej nie mógł udawać, że nie zauważył, że potrzebuje pomocy. Naprawdę zupełnie mu to nie pasowało, ale czy miał jakiś wybór?

Z westchnieniem zjechał na pobocze i zatrzymał się w pewnej odległości od jej auta. Włączył światła awaryjne i zabrał kurtkę z tylnej kanapy. Natychmiast przemókł, strugi deszczu zaciąły, woda lała się jak z prysznica pod gołym niebem. Przegarnął ręką włosy, odetchnął głęboko i ruszył w kierunku samochodu dziewczyny, kalkulując, jak szybko może zmienić oponę i kontynuować jazdę do domu.

– Potrzebujesz pomocy?! – zawołał. Zobaczył, że to jednak nie jest ta dziewczyna ze studiów, bardzo do niej podobna, ale nie ona.

Nie odpowiedziała, co go zaskoczyło. Patrząc na niego z paniką w oczach, puściła oponę i zaczęła się powoli cofać.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).